

GRZEGORZ W. KOŁODKO

Świat i my

Stenogram wykładu wygłoszonego na Uniwersytecie Lwowskim 21 maja 2003 roku w związku z przyznaniem tytułu *Doctoris Honoris Causa* za wybitny wkład do nauk ekonomicznych, w szczególności w zakresie globalizacji.

To dla mnie wielki zaszczyt, że odbieram wielką godność tej jakże znakomitej Alma Mater - dyplom doktora honoris causa Uniwersytetu Lwowskiego. Tym bardziej czuję się zaszczycony, że te słowa mogę zaadresować do Państwa w mojej ojczyznej mowie, mowie Mickiewicza, którego pomnik w pięknym Lwowie tu nieopodal stał, stoi i stał będzie. Kilka dni temu przebywałem w interesach mojej ojczyzny od Warszawy wprawdzie niedaleko, ale w drugą stronę, na Zachód, gdzie *lingua franca* jest język angielski. Jakże więc miło pojechać w stronę, gdzie można mówić w naszym języku, w języku, który jest dobrze rozumiany na Ukrainie.

W pewnym momencie, kiedy profesor Markijan Malski przedstawiał uzasadnienie otrzymania przeze mnie tego honoru, pan rektor zażartował, że w zasadzie wszystko już zostało powiedziane. Ale wcześniej wspomniał, że w regulaminie Uniwersytetu Lwowskiego nie ma żadnych ustaleń co do tego, jak długi może być wykład doktora honoris causa. Mam więc czas nielimitowany i chciałbym wykorzystać Państwa obecność, by w kilku słowach podzielić się treściami wynikającymi z moich wieloletnich studiów, obserwacji, ze skrzyżowania tego, co wynika z pogłębionych analiz teoretycznych z tym, co wynika z praktycznego doświadczenia politycznego.

Mój niedawno zmarły profesor i promotor, także był związany z tym Uniwersytetem. Profesor Maksymilian Pohorille zwykł nas nauczać, że odpowiedź ekonomisty jest pytaniem dla polityka. Zresztą nie on to pierwszy wymyślił, tylko wspierał się tutaj opinią i doświadczeniem wybitnej brytyjskiej ekonomistki Joan Robinson. Dlatego staje przede mną - przed wieloma z nas - codzienne praktycznie pytanie: jak ten świat jest zorganizowany, dlaczego procesy ekonomiczne, finansowe, społeczne przebiegają tak, a nie inaczej? Kiedy dochodzimy już do wniosku, że pewne wątki jesteśmy w stanie naukowo uchwycić, to udzielamy odpowiedzi, a ta odpowiedź jest z kolei pytaniem dla polityków, którzy chcą zmieniać świat na lepsze. I zmieniają. Zmieniają już przez lata, stulecia, milenia, ale ja nie wiem, czy dzisiaj - w roku 2003 - świat jest lepszy niż 5 albo 15, albo 50, albo 500, albo 5 tysięcy lat temu. Z pewnością jest inny. I inny także będzie w przyszłości. Ale jaki? Oto jest pytanie.

W tym innym świecie wszyscy szukają nieustannie swojego miejsca. To miejsce po stokroć musi być na nowo definiowane. Pewne procesy związane z trwającymi nieustannie zmianami będą płynnie, inne bardzo gwałtownie, pewne rzeczy jesteśmy w stanie przewidzieć albo ukształtować, inne zaskakują nas i nie potrafimy sobie z nimi poradzić. Problemów więc nie brakuje i dlatego my - ekonomiści - mamy ciekawe życie. Ceny rosną, są problemy. Ceny spadają, są trudności. Kurs walutowy się wzmacnia, są pytania i tak samo dzieje się, gdy spada. Występuje deficyt na rachunku obrotów bieżących - problem; jest nadwyżka - też problem. Kapitał szybko dopływa - nowe wyzwania; odpływa na zewnątrz - też wyzwań nie brakuje. Tak więc mamy ciekawe życie dlatego, że udzielenie każdej kolejnej odpowiedzi rodzi nowe pytania. Nauka, którą uprawiam - a której teraz także jestem doktorem honoris causa Uniwersytetu Lwowskiego - ma to do siebie, że dotyczy żywego organizmu.

Jeśli wreszcie rozumiemy, co od czego zależy, jak się rzeczy mają, co się dzieje i dlaczego akurat tak a nie inaczej, to okazuje się, że rzeczywistość już biegnie dalej. Teorie ekonomiczne, które pokolenie czy dwa temu miały zastosowanie lub sprawdzały się, dzisiaj często mogą już nie powodować takich skutków. To trochę tak, jakby próbować zarejestrować widok zza okna pędzącego pociągu.

Nawet takim urządzeniem jak cyfrowy aparat fotograficzny, kiedy bardzo szybko możemy obejrzeć zrobione wcześniej zdjęcie. I kiedy chcemy je porównać z rzeczywistością za oknem, to tam widnieje już coś innego. Przesunęliśmy się bowiem w czasie i przestrzeni i to, co nam wydaje się, że jest teorią przystającą do rzeczywistości, może już do niej nie pasować.

W naszej części świata - w Europie Środkowo-Wschodniej i na olbrzymim terenie od serca Europy do wybrzeży Pacyfiku, który to szmat naszej Ziemi zaludnia miliard siedemset milionów ludzi, przechodzimy wielce skomplikowany proces transformacji systemowej. Stoimy cały czas przed pytaniem: czy istnieją właściwe podstawy teoretyczne opisujące to, co się dzieje, stwarzające właściwe, poprawne przesłanki do wykorzystania przez polityków w ich praktycznych, wpływających na losy milionów ludzi działaniach? Jeśli potrafią oni udźwignąć odpowiedzi ekonomistów - a wiercie mi Państwo, niewielu polityków to potrafi i za to społeczeństwa płacą bardzo wysoką cenę - nie oznacza to jeszcze, że nauka na wszystkie pytania udziela trafnych odpowiedzi, przedstawia trafne propozycje.

Przechodzimy proces posocjalistycznej - nazywany przez innych pokomunistyczną - transformacji do gospodarki rynkowej i przy bardzo grubą kreską pociągniętym rysunku wydaje się, że wiemy o co chodzi, wiemy od czego odchodzimy i do czego zmierzamy. Ale czy zaiste wiemy, od czego odchodzimy? Historia ma to do siebie, że niekiedy bywa wredna, wprawdzie bowiem w odniesieniu do niedawnej przeszłości rysuje czarną wizję. Dotyczy to także historii współczesnej. Historycy nazywają to „czarną legendą”. W czasach Odrodzenia bardzo czarno rysowano Średniowiecze. W następnej epoce z kolei, bardzo krytycznie pisano o Odrodzeniu. Kiedy w Polsce odbudowywano gospodarkę po zniszczeniach 2. wojny światowej i tworzono system socjalistyczny, nauczano nas w szkole, jak kiepskim systemem była Polska międzywojenna. Tamten okres też więc, zanim doczekał się w miarę rzetelnego opisu, przejść musiał przez swój epizod „czarnej legendy”.

Kiedy oto w Polsce i innych krajach naszej części świata w trakcie transformacji systemowej słyszymy, jak bardzo źle było w okresie poprzedzającym lata przełomu 24 1989-1991, to ponownie następuje pewne zamazanie faktów i zakłamywanie rzeczywistości przed transformacją, także ekonomiczną. W rzeczy samej niektórzy już pozapominali, jak naprawdę wyglądała rzeczywistość poprzedzająca obecne zmagania. A warto dobrze przeanalizować pewne mechanizmy z tamtych okresów, bo bez ich prawidłowego zrozumienia czy też wobec ich uproszczonej, często sprymitywizowanej interpretacji, nie można dobrze zaprogramować działań, które realizować nam przychodzi w obecnej fazie rynkowych tym razem przemian.

Tak się złożyło, że kiedy my w Polsce 14 lat temu skończyliśmy debatę przy Okrągłym Stole - w której skądinąd także brałem udział - i zapoczątkowaliśmy historyczny proces przyspieszonego przechodzenia do demokracji politycznej, gospodarki rynkowej i społeczeństwa obywatelskiego, wprawdzie w Europie Środkowej, a potem we Wschodniej i następnie na terenie całego byłego Związku Radzieckiego, choć w różnym stopniu, w różnym tempie i w różnym zakresie, to dysponowaliśmy pewną wiedzą o tym, od czego odchodzimy i do czego zmierzamy. Jednakże tak się złożyło, że potrzebowaliśmy wsparcia z zewnątrz, nie tylko intelektualnego, ale przede wszystkim finansowego. Potrzebne były nam zagraniczne - bo własnych nie starczało - kapitały i technologie, żeby wesprzeć wysiłki inwestycyjne. Wraz z kapitałami płynąć jednak musiały także pomysły i rady. I płynęły; czasami jeszcze bardziej wartko, niż kapitały i technologie.

Niestety, gdy rozgrywała się tak fundamentalnie ważna karta naszej historii, okazało się, że brak było dojrzałej koncepcji pokazującej jednoznacznie, w jaki sposób kształtować nową rzeczywistość. Pomimo wielu cennych pomysłów i propozycji, które zostały wcześniej wypracowane, zwłaszcza w krajach o daleko zaawansowanych reformach rynków, głównie w Polsce i na Węgrzech, nie było tak potrzebnej wówczas zwartej i kompleksowej koncepcji czy też teorii transformacji oraz strategii polityki gospodarczej. Nie było ich na Wschodzie, ani tym bardziej na Zachodzie, ani po tej stronie Atlantyku, ani tym bardziej po tamtej.

Wówczas puste obszary przestrzeni intelektualnej i koncepcyjnej wypełniają niekiedy przypadkowo

zgłaszane pomysły albo też sugestie przynależące nie do tego świata, abstrahujące od *differentia specifica* upadającego socjalizmu i dezintegrującej się gospodarki centralnie planowanej. Niekiedy wręcz górę brać może swoista szarlataneria ekonomiczna i - jak w wypadku zarazy w zacofanej wiosce, z którą nie może poradzić sobie miejscowy szaman - pojawia się nowy szarlatan, który „wie”, co i jak należy czynić, żeby wyleczyć się z choroby i usunąć źródła epidemii. Leczy więc, bo naiwni mu uwierzyli, tyle że przy sposobności w miejsce starej nowa choroba może się rozwinąć.

Niezmiernie ciekawe, że w czasach administracji prezydenta Reagana, w Stanach Zjednoczonych za pieniądze amerykańskich podatników finansowane były badania na przykład na temat ekonomicznych następstw wojny termojądrowej, łącznie z pragmatycznymi propozycjami, co należy uczynić, żeby odbudowywać gospodarki po jądrowym zniszczeniu. Tym politykom, intelektualistom i badaczom starczało wyobraźni, czasu i pieniędzy, by zajmować się poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie, „co by było gdyby...”, ale nie starczyło im ani czasu, ani wyobraźni, ani - oczywiście - pieniędzy, żeby prowadzić bardzo szczegółowe, systemowo nakierowane pragmatyczne badania, co trzeba będzie uczynić, gdyby okazało się, że system, którego oni tak bardzo nie lubili, zawali się. Tak więc Zachód generalnie nie był intelektualnie i programowo przygotowany na upadek gospodarki socjalistycznej. To bardzo ciekawe. My za to - tak, byliśmy w dużej mierze na to przygotowani. My w Polsce bardziej, niż gdzie indziej, czego przejawem także właśnie wspomniany Okrągły Stół 14 lat temu.

Prawdą naukową jest to, że nie mieliśmy dobrej recepty, jak odejść od poprzedniego systemu i jak stworzyć podwaliny nowego, w który to proces jesteśmy teraz zaangażowani, choć znowu, w różnym stopniu i na różną skalę w różnych obszarach naszej części świata. I na pewno w innym stopniu tu, na Ukrainie, a w innym obok. w Polsce. Zostaliśmy więc jednak w jakiejś mierze zaskoczeni zmianami z przełomu dekady lat 80. i 90., ich głębokością, radykalizmem, gwałtownością. Dlaczego jednak te zmiany nastąpiły właśnie wtedy? Zawsze trzeba zadawać sobie pytanie, dlaczego coś się dzieje, tak jak się dzieje, ale również dlaczego dzieje się wtedy, kiedy się dzieje. Dlaczego nie pokolenie wcześniej albo pokolenie później?

Otóż rzeczy dzieją się tak, jak się dzieją dlatego, że wiele zdarza się w tym samym czasie i w tym samym miejscu. Dotyczy to zarówno naszego osobistego życia, jak i wielkich wydarzeń na niwie gospodarczej. Dotyczy to wielkich sukcesów i spektakularnych zwycięstw, jak i niefortunnnych klęsk i katastrof, które się zdarzają praktycznie na każdym odcinku ludzkiej aktywności. Żeby doszło do tragedii i zatonięcia okrętu podwodnego Kursk, to w pewnym momencie i miejscu musiało stać się kilka rzeczy *naraz*; inaczej bowiem dalej by pływał. Żeby rozbił się prom kosmiczny Columbia, musiało się w pewnym ułamku sekundy, w pewnym miejscu stać wiele rzeczy *naraz*; w innym przypadku wylądowałby.

Podobnie było w latach 1989-1991 w naszej części świata. Wtedy też musiało się stać kilka rzeczy *naraz*. Tylko że „teraz” albo „wtedy” mówimy w innej skali czasu. Kilka tygodni, miesięcy czy też lat w pewnych kwestiach jest tylko mgnieniem oka na skali historycznej. Cóż się stało? Otóż stało się to, że w tamtej fazie nałożyły się na siebie dwa wcześniej zupełnie niezależne od siebie procesy. Jeden wynikający z działania mechanizmu endogenicznego, czyli wbudowanego w funkcjonowanie systemu. Ludzie mieli w coraz większym stopniu dosyć państwowego socjalizmu, systemu gospodarki centralnie planowanej, nadmiernie zbiurokratyzowanej. Było to szczególnie dotkliwe w dawnym Związku Radzieckim, w tym na Ukrainie. Szczególnie, ponieważ tutaj rozluźniające systemowy gorset reformy nie były podejmowane, albo też były li tylko namiastkami tego, co należało czynić. Jednakże w innych krajach - na przykład w byłej Jugosławii, z której wyłoniło się potem pięć republik - daleko posunięte reformy nastawione na wprowadzanie po części mechanizmów rynkowych, także nie przyniosły oczekiwanych skutków.

Sześć lat temu zostałem zaproszony na konferencję do Pekinu. Poproszono mnie, żebym przedstawił referat na temat doświadczeń płynących z polskich reform, także - a raczej przede wszystkim - dla Chin. W pierwszej chwili myślałem, że chodzi o reformy lat 90. A potem okazało się, że nie. Poproszono wręcz, abym swoje analizy zamknął rokiem 1989 i spróbował wyjaśnić chińskim

ekonomistom i politykom, dlaczego tamte reformy nie wyszły i dlaczego w związku z tym rozpoczęliśmy zupełnie inną fazę - nie reformowania, tylko transformowania gospodarki.

I tu wyłania się kwestia rozróżnienia rynkowych reform i posocjalistycznej transformacji. Reformy w byłej gospodarce socjalistycznej to nie była transformacja. To były jedynie próby istotnych zmian. Wciąż jednak pozostawały one w sferze co najwyżej wysiłków skierowanych na utrzymanie istniejącego systemu poprzez podniesienie jego efektywności ekonomicznej i zdolności konkurencyjnych. Stąd - co ważniejsze - podnoszony winien być poziom produkcji i konsumpcji, a cały system powinien zbliżać się do tego, czego oczekiwało społeczeństwo. Takie były intencje rynkowych reform gospodarki socjalistycznej. Natomiast transformacja posocjalistyczna polega na przekreśleniu poprzedniego systemu, na zastąpieniu go nowym systemem, tą nową, „lepszą rzeczywistością”.

Otóż w gospodarce socjalistycznej jej schyłkowego okresu, dział się pewien proces czy raczej cała wiązka procesów, która powodowała, że nastąpiło swoiste „zmęczenie wzrostem”. Gospodarka centralnie planowana - w zależności od regionu, a raczej realizowanej polityki, mniej lub bardziej zreformowana - nie była w stanie sprostać nasilającej się konkurencji wysoko rozwiniętych krajów kapitalistycznych. Zwłaszcza że bardzo dynamicznie weszły one w kolejną rewolucję przemysłową, związaną z pojawianiem się i rozprzestrzenianiem technologii informatycznych. Nasza gospodarka natomiast nie była dostatecznie elastyczna. Gdyby istniał mechanizm, który eliminowałby negatywne ogniwa systemu gospodarczego, to może system trwałby dłużej. Ale takiego mechanizmu nie było. Gdyby upadały przedsiębiorstwa socjalistyczne, to - być może - nie musiałby upaść cały system, to jedno gigantyczne przedsiębiorstwo socjalistyczne.

Tak więc o wielkich zmianach końca lat 80. przesądziły ludzie, masy ludzkie, a nie wąskie grupy intelektualistów i liderów ekonomicznych, choć niektórzy z nich przypisywać mogą sobie, że oni albo to wysoki przeskoczyli płot, albo to ważki napisali artykuł, albo też fundamentalny wygłosili wykład. Ale my tu mówimy o wielkich procesach, a nie o przeskakiwaniu etapów, płotów czy trudnych pytań. Jako ludzie występujemy równocześnie w trzech rolach społecznych: jesteśmy konsumentami, producentami i obywatelami. Jako konsumenci w coraz większym stopniu byliśmy zmęczeni tamtym systemem. Rozpanoszyła się bowiem gospodarka niedoboru, choć znowu, na zróżnicowaną skalę w poszczególnych krajach byłego systemu.

Dzisiaj studentom trzeba opowiadać o niedoborach już na przykładzie modeli ekonomicznych, wyjaśniając co to były niedobory i na czym polegały albo odnosząc się do pewnych poligonów gospodarki niedoboru, które jeszcze wciąż istnieją we współczesnym świecie - a to na Kubie, a to w Korei Północnej. Z czasem - i to szybciej, niż później - te enklawy gospodarki niedoboru także znikną. Trzeba zatem studentom wyjaśniać patologie towarzyszące niedoborom w postaci reglamentacji, szarego rynku, czarnego rynku, wymuszonej substytucji, nepotyzmu, patologii systemu dystrybucyjnego, skorumpowania systemu handlowego, wyjaśniać przede wszystkim to, na co musi zwrócić uwagę ekonomista - asymetrię i zakłócenia w przekazywanych poprzez zwichnięty system cen informacjach. A przecież ich zafałszowanie musiało prowadzić wprost do relatywnego pogarszania się efektywności alokacyjnej.

Ludzie byli zmęczeni także jako producenci, ponieważ widzieli, że produkcja jest źle zorganizowana i mało efektywna; z jednej strony występowała często nadwyżka i marnotrawstwo nadmiernych zapasów, a z drugiej - dokuczały permanentne niedobory i nie najlepsza organizacja pracy. I ludzie buntowali się przeciwko temu - raz tłamsząc ten bunt w sobie, innym razem decydując się na jego zewnętrzny upust, niekiedy w dramatycznych okolicznościach i w nader gwałtownej formie.

Wreszcie, ludzie byli w coraz większym stopniu niezadowoleni jako obywatele. A to dlatego, że wiedzieli, iż nie ma skutecznych, zinstytucjonalizowanych form wypowiedzenia się otwarcie i publicznie o tym, iż rzeczywistość nie jest taka, jakiej pragnęli i że chcieliby ją zmienić w określonym przez nich samym kierunku. Krótko mówiąc, demokratyczne mechanizmy nie funkcjonowały, nie było bowiem prawdziwej demokracji, choć jej ograniczenia też były różne

w różnych krajach i czasach, gdyż sytuacja w tej sferze także ewoluowała w czasie i przestrzeni.

To wszystko powodowało pewien kumulujący się potencjał niezadowolenia. Ale znowu powraca pytanie, dlaczego rzeczy dzieją się wtedy i tak, jak się *de facto* dzieją? Czy dwadzieścia lat wcześniej było tak dobrze, że tego typu zjawiska, które mogły prowokować do buntu, nie występowały? Albo: czy w Chinach przez cały czas było i jest tak dobrze, że te zjawiska nie wystąpiły i można było - reformując, ale zarazem przecież kontynuując funkcjonowanie starego systemu - przetrwać jeszcze ponad dwadzieścia lat, czyli przez następne pokolenie? Czy - innymi słowy - nie było przesłanek, żeby socjalizm upadł w Europie Środkowo-Wschodniej na przykład już około 1968 roku? I skoro upadł on w byłym Związku Radzieckim kilkanaście lat temu, to dlaczego w Chinach potrafił przetrwać - i to z powodzeniem w odniesieniu do sfery ekonomicznej - do chwili obecnej? Są to ciekawe pytania, na które trzeba odpowiedzieć. Od tej odpowiedzi bowiem zależy nie tylko zaspokojenie intelektualnej ciekawości, ale także postulaty co do kierunków pragmatycznych działań, nie tylko interpretacja przeszłości, ale również aktywne kształtowanie przyszłości.

Otóż odpowiedź na te pytania wyprowadzić trzeba z obserwacji nie tylko tego, co się działo „wewnątrz”, w ramach endogenicznego mechanizmu rozwoju, ale również z perspektywy zewnętrznej, z punktu widzenia działania czynników egzogenicznych, i to tym bardziej, że w tym samym mniej więcej czasie weszliśmy w kolejną fazę intensywnej globalizacji. I choć niektórym wydawało się, że wielkie przemiany w byłych krajach socjalistycznych mogły nastąpić dużo wcześniej czy też później, to w Polsce — i wkrótce potem w niektórych innych krajach regionu - zaszły one właśnie w roku 1989. A to dlatego, że równocześnie działał się drugi proces.

I tu musimy wyjść poza nasze ścianki i zaścianki, także w Polsce, gdzie wydaje nam się, że to my - leżąc w samym sercu Europy i inicjując procesy posocjalistycznej transformacji - uruchomiliśmy to wielkie koło historii. W pewnym stopniu jesteśmy tylko trybikiem w dużo większym kole historii, które cały czas się kręci. I miele jak żarna; leci więc raz mąka, raz otręby... Otóż wiele w tym czasie działo się w innej części; w „innej części”, bo nie było wówczas jeszcze gospodarki światowej w tym sensie, jaki teraz nadajemy pojęciu globalnej gospodarki. Byliśmy od tamtej, kapitalistycznej części gospodarki światowej oddzieleni nie tylko innym systemem politycznym i ideologicznym. Nie było wolnego handlu, nie było swobodnego przepływu kapitału zarówno bezpośredniego, jak i finansowego. Nie było bezpośredniego wolnego przepływu towarów - zarówno dóbr, jak i usług - nie było swobodnego przepływu ludzi. Relatywnie ograniczony był też przepływ idei, limitowany pozostawał przepływ technik i technologii, także ze względu na ograniczenia finansowe. Świat w zasadzie *był* podzielony. Mówiliśmy o Trzecim Świecie.

Ale jeśli był Trzeci Świat - świat biedny, o którym czasami mówiono „rozwijający się”, choć niestety nie rozwijał się wcale albo nawet mieliśmy do czynienia z przejawami cofnięcia gospodarczego - to musiał być także świat drugi i świat pierwszy. To my byliśmy tym Drugim Światem. Oni - bogato wysoko rozwinięty kapitalizm, raptem około 25 krajów na ponad dwieście - to był ten Pierwszy Świat. I oto nam się zamarzyło, że transformacja od systemu do systemu polegać musi na przejściu ze świata drugiego do pierwszego. No bo na czym miałyby transformacja polegać, na przejściu ze świata drugiego do trzeciego? To wtedy pewnie byśmy tej transformacji nie popierali. I teraz okazuje się, że transformacja od systemu do systemu bynajmniej nie implikuje automatycznie, sama z siebie, przejścia ze świata drugiego do pierwszego, a może powodować przesuwanie się raczej bliżej świata trzeciego, niż tego pierwszego. Tak, niestety, dzieje się na przykład w niektórych spośród republik poradzieckich, a symptomy takiej niekorzystnej ewolucji mogą być także dostrzegane w mniej rozwiniętych i jeszcze dodatkowo obciążonych spuścizną regionalnych konfliktów etnicznych i militarnych republikach byłej Jugosławii.

Natomiast w świecie pierwszym, najbogatszym, pół pokolenia temu działy się inne ciekawe rzeczy. Otóż wyzwała się bardzo wielka masa wolnego kapitału. Społeczeństwa wysoko rozwinięte - najbogatsze społeczeństwa tego świata - oszczędzają dużo więcej, niż są w stanie u siebie zainwestować. Szukają zatem na zewnątrz możliwości zainwestowania tych nadwyżek w postaci rosnących oszczędności. I cóż widzą? Widzą, że oto od Łaby do Pacyfiku jest olbrzymia połać ziemi

z wysoko wykwalifikowanym kapitałem ludzkim, z olbrzymimi zasobami, z wielkim potencjałem, która się jeszcze nie wyłoniła jako rynek. Rodzi się z tego pojęcie *emerging market*, wschodzący, wyłaniający się rynek. To my mamy „wyłonić się” na powierzchnię z dotychczasowej nierynkowej otchłani! No i wyłaniamy się... Już kilkanaście lat się wyłaniamy i niektórzy już prawie się wyłonili. Polega to na tym, że otwieramy się na coraz swobodniejsze i szersze kontakty zewnętrzne, dopuszczając więcej towarów i kapitału do naszej gospodarki. Ale żeby to było możliwe, muszą stać się pewne rzeczy, a nade wszystko stać się musi to opłacalne dla tych z innych części gospodarki światowej, którzy pragną w naszej jej części lokować swoje wolne kapitały i sprzedawać swoje towary.

I tak, po pierwsze, gospodarka musi stać się prywatna, gdyż nikt nie będzie inwestował swoich oszczędności szerokim strumieniem w krajach, gdzie dominować miałaby własność państwowa. Konieczna zatem jest powszechna, kompleksowa prywatyzacja, co jest o tyle unikatowym wyzwaniem, że musi być ona przeprowadzona w stosunkowo krótkim czasie, przy niedostatku rodzimego kapitału. Tym bardziej trzeba się otwierać.

Po drugie, pieniądz musi być wymienny, żeby można było łatwo realizować wszystkie transfery finansowe i płatności. Stąd też parcie na jak najszybsze wprowadzenie wymienności waluty, wprawdzie tylko w odniesieniu do transakcji bieżących, a z czasem także w stosunku do operacji na rachunkach kapitałowych. Oczywiście, ma to określone implikacje dla całokształtu polityki finansowej - zarówno fiskalnej, jak i pieniężnej - oraz ich odpowiedniej, gwarantującej stabilność finansową, koordynacji.

Po trzecie, musi być zliberalizowany przepływ kapitału rzeczowego i finansowego. Wymaga to wielu reform strukturalnych i odpowiedniej instytucjonalnej podbudowy rynku.

Po czwarte, muszą być ograniczone, a czasem także zniesione, cła i protekcjonizm stawiający bariery w wolnym handlu. To zaś wiąże się z gotowością wyeksponowania wielu rodzimych przedsiębiorstw i całych gałęzi na presję konkurencji z zewnątrz.

Po piąte wreszcie, musi istnieć przyzwolenie polityczne na taką deregulację gospodarki, żeby wszystkie pożądane z punktu widzenia sprawnego funkcjonowania współczesnej otwartej gospodarki rynkowej procesy mogły być uruchomione. To wielkie ciśnienie zewnętrzne bogatej części świata na naszą część świata katalizuje, galwanizuje i dynamizuje proces, który ma swój mechanizm endogeniczny, który wynika z tego, co się dzieje u nas.

Kilka lat temu wszakże byliśmy tak bardzo zafascynowani tym, co się dzieje u nas, że wielu nie potrafiło dostatecznie wyraźnie dostrzec tego, co dzieje się w tym samym czasie na zewnątrz. I ani jeden z tych procesów sam z siebie, ani drugi sam z siebie najprawdopodobniej nie byłby w stanie ruszyć tej lawiny, która dzisiaj skutkuje tym, że miliard siedemset milionów ludności - łącznie z Chinami, Wietnamem i Indochinami - jest na drodze do gospodarki rynkowej. Nakładają się wobec tego dwa procesy: ten wewnętrzny, proces postępującego zmęczenia starym systemem, coraz mniej konkurencyjnym ze względu na brak zdolności dostosowawczej, i ten zewnętrzny, presji międzynarodowego kapitału. Stary system ginie jak dinozaury, które się nie potrafiły dostosować do nieodwracalnie zmieniających się warunków.

Nie potrafiliśmy bowiem dostosować się w tamtym systemie do ewolucji wynikającej z rewolucji naukowo-technicznej, z wszystkimi tego konsekwencjami dla funkcjonowania całej gospodarki światowej. Od momentu transformacji gospodarka światowa staje się przeto jedną, coraz bardziej zintegrowaną gospodarką. Na tym właśnie polega globalizacja. Innymi słowy, gdybyśmy nie przystąpili do tego procesu otwierając i integrując się z resztą gospodarki światowej, to nie byłaby ona globalna. Teraz już jest. Także z naszym udziałem, choć przy niewielkiej roli, jaką w niej odgrywamy, zważywszy na skalę produkcji i udziału w światowym handlu.

Globalizacja to historyczny proces liberalizacji i w ślad za nim biegnącej integracji dotychczas

funkcjonujących w dużym stopniu w odosobnieniu rynków kapitału, towaru i - choć z pewnym opóźnieniem i w mniejszej skali - siły roboczej, w jeden światowy rynek. A jeśli chcemy być częścią tego rynku, musimy zaakceptować rynkowe, czyli kapitalistyczne zasady gry, które na tym rynku obowiązują. Wobec tego trzeba stać się gospodarką kapitalistyczną, a żeby stać się gospodarką kapitalistyczną, trzeba przejść transformację od gospodarki socjalistycznej do gospodarki kapitalistycznej. Jeśli spojrzeć na to z lotu ptaka - może bardziej nawet wypadaloby powiedzieć, z punktu widzenia okrążającego ziemię sputnika - to widać, że te dwa procesy stają się w zasadzie jednym, coraz bardziej zintegrowanym procesem. Nawzajem siebie przy tym posilkują i występują pomiędzy nimi łatwo zauważalne sprzężenia zwrotne. Nie byłoby transformacji, gdyby nie globalizacja. I na odwrót; nie byłoby pełnej globalizacji, gdyby nie posocjalistyczna transformacja.

Wraca zatem pytanie, czy na przełomie lat 80. i 90. wiadomo było, co należy robić, czy oprócz ogólnych haseł „trzeba liberalizować, otwierać, prywatyzować”.

Czy istniała jakaś pogłębiona i skonkretyzowana wiedza, jak to wszystko przeprowadzić? Bynajmniej. Pamiętam seminarium zorganizowane w Nowym Jorku w 1990 roku, na którym wystąpiłem z jednym z najznakomitszych współczesnych ekonomistów - niestety zmarłym w zeszłym roku - profesorem Rudigerem Dornbuschem z MIT. Wówczas powiedział on, że my - tu, w naszej, posocjalistycznej części świata - nie jesteśmy w niczym inni. Gdziekolwiek na świecie by oni z kolei - amerykańscy guru - nie pojechali, to słyszą od wszystkich, że *we are different*, a to w Argentynie, a to w Turcji, a to w Afryce, a to na Filipinach. Dornbusch dodał, że choć w Polsce nigdy wcześniej nie był, to jest przekonany, że na pewno tak samo mówimy. I miał rację. Tak, dokładnie tak mówiliśmy: *we are different*.

Byliśmy inni, bo na przełomie lat 80. i 90. mieliśmy jakościowo inne problemy instytucjonalne niż te, z którymi borykały się wówczas pozostałe tzw. wyłaniające się rynki - te nie posocjalistyczne. I rzecz nie polegała na tym, że byliśmy jakoby podobni do gospodarek latynoamerykańskich, w co szczególnie wierzyli niektórzy zachodni, zwłaszcza amerykańscy ekonomiści. Podobieństwa w istocie rzeczy były dużo mniejsze, niż te pozornie rzucające się w oczy na powierzchni zjawisk. A po to, by zaproponować dobrą terapię, należało mieć dobrą diagnozę rzeczywistego stanu rzeczy. Niestety, tego amerykańskim guru brakowało, co skutkowało wadliwie formułowanymi receptami odnośnie zalecanej polityki gospodarczej. Jej skrajnym przejawem była koncepcja tzw. szokowej terapii, której narzucenie i przyjęcie szczególnie wiele kosztowało na początku lat 90. polską gospodarkę i społeczeństwo. Wiele było zupełnie zbytecznych szoków, bardzo niewiele jakże pożądanej terapii.

Otóż kraje Europy Środkowowschodniej, a w szczególności byłego Związku Radzieckiego, zwróciły się do grupy najbogatszych państw świata G-7 o pomoc nie tylko kapitałową, ale także tzw. techniczną, a więc o doradztwo. Co zrobić, skoro stary system się nie sprawdza, jak przechodzić na nowy? Ale wszyscy - także my w Polsce - zwracaliśmy się z prośbą również o pomoc finansową ze względu na zadłużenie zagraniczne, w które byliśmy uwikłani. I wówczas grupa G-7 przekazała niebywałą władzę dwóm międzynarodowym instytucjom - Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu i Bankowi Światowemu - te zaś stanęły w obliczu niebywałego wyzwania.

I oto jednego dnia przyjmuje się do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego prawie dwadzieścia nowych państw, w tym wszystkie republiki poradzieckie, które mają stać się gospodarkami nowymi, funkcjonować w oparciu o reguły gry obowiązujące w tym „pierwszym świecie”. A nie było żadnej gotowej recepty, co czynić. Jak już wiemy, nie było badań nad tym, co zrobić po upadku socjalizmu. Była za to inna propozycja, która stała się kanwą odpowiedzi. Był mianowicie tzw. konsensus waszyngtoński, czyli pewna koncepcja teoretyczna, wypracowana jako reakcja na kryzys strukturalny i zadłużenie Ameryki Łacińskiej.

Koncepcja ta wydała się tym, którzy mieli dużo do powiedzenia, właściwa do zastosowania w krajach posocjalistycznych. Przyjęto tylko, że my właśnie jesteśmy inni - powiedzmy, trochę „gorsi”, bo mamy jeszcze większy sektor państwowy niż nieefektywne gospodarki latynoamerykańskie, jeszcze silniejsze związki zawodowe, jeszcze większy stopień biurokratyzowania, niewymienialności

pieniądza, zbiurokratyzowania procedur, a nade wszystko scentralizowanej regulacji cenowej. Czyli trzeba było zrobić to samo, co gdzie indziej - głównie w Ameryce Łacińskiej - tylko czynić to aktywniej i skuteczniej. A co podpowiada „waszyngtoński konsensus”? Otóż - upraszczając - nakazuje on prywatyzować tak dużo i szybko, jak tylko się da, liberalizować handel i ceny jak najszybciej i wreszcie być twardym w polityce finansowej - zarówno pieniężnej, jak i budżetowej.

Czy jest cokolwiek zdroźnego w tych radach? Bynajmniej; nie ma w nich niczego złego. Trzeba tylko zwrócić uwagę na to, czego tam nie ma, a nie na to, co tam jest. To tak, jak w słynnej opowieści Conan Doyle'a, w której wielki Sherlock Holmes powiada swemu przyjacielowi doktorowi Watsonowi, że nie powinien zastanawiać się nad tym, dlaczego pies ostatniej nocy tak zajadłe ujadł, ale dlaczego nie szczekał on poprzedniej nocy. Tak - należy prywatyzować, tak - należy liberalizować, tak - trzeba utrzymywać dyscyplinę finansową i być twardym, jeśli chodzi o politykę pieniężną i budżetową. Ale to nie wystarczy. To, czego „waszyngtoński konsensus” nie uwzględnił i przeoczył, to wielka rola budowy instytucji przy wprowadzaniu gospodarki rynkowej.

Co to są instytucje? Instytucje to reguły rynkowej gry oraz organizacje, a także prawo, które metodami kija i marchewki wymuszają stosowanie się do tych reguł gry. I teraz, kiedy wdrażamy gospodarkę rynkową w naszych krajach, widzimy, jak olbrzymie wyzwania stoją przed nami. To nie tylko procesy prywatyzacji i liberalizacji, ale także uregulowania w ramach zgoła nowej instytucjonalizacji aktywności ekonomicznej. Tworzymy przecież nowy ustrój.

Po kilkunastu latach wysiłków w różnych krajach, jesteśmy na różnym etapie w tym dziele. My w Polsce, wraz z kilkoma innymi krajami, jesteśmy zdecydowanie zaawansowani ze względu na przyjęcie regulacji i instytucjonalizacji wynikających ze zbliżającego się członkostwa w Unii Europejskiej. To skutek naszej pozycji geopolitycznej, a także naszej mądrości. W tej bowiem fazie integracji gospodarki światowej, wyrazem wielkiej nieroztropności byłoby, gdybyśmy nie zintegrowali się z tak znaczącym ugrupowaniem ekonomicznym, jakim jest Unia Europejska. Ten dzień nadejdzie wkrótce, na skali historycznej praktycznie w kolejnym mgnieniu oka. Wiele jeszcze jednak musimy zrobić - zarówno przed formalną datą akcesji, czyli 1 maja 2004 roku, jak i potem. I to przez wiele jeszcze lat.

Z czasem polska gospodarka będzie funkcjonować tak, jak funkcjonują gospodarki rynkowe Unii Europejskiej, choć jeszcze przez jakiś czas z pewnymi ułomnościami. To jest nasza szansa i nasz wybór. Nie jest to wszakże opcja dostępna dla wielu innych państw, w tym dla niektórych posocjalistycznych krajów regionu bałkańskiego - przynajmniej w dającej się przewidzieć perspektywie czasowej - czy też dla republik poradzieckiej Azji Środkowej. Przynajmniej nie teraz, przynajmniej nie w tej fazie, a może - także ze względu właśnie na pozycję geopolityczną - wcale.

Tak więc przebieg i charakter wielkiej polskiej transformacji ustrojowej i transformacji niektórych innych krajów, był zbiegiem nakładających się okoliczności wewnętrznych i zewnętrznych. Żadnych z nich nie należy bagatelizować, ale też nie należy przeceniać ich znaczenia. Przede wszystkim zaś nie należy roztrząsać ich poza właściwym dla nich kontekstem politycznym i historycznym. Na tym właśnie tle wprowadzamy gospodarkę rynkową z takimi zasadami gry, jakie obowiązują w Unii Europejskiej. Integracja europejska musi być przy tym postrzegana jako pewien element szerszej gry, globalnej rywalizacji ugrupowań ekonomicznych.

Kraje małe i średnie, otwierające się na światową gospodarkę, powinny korzystać z dobrodziejstwa integracji, gdyż stwarza ona dużo większe szansę we współczesnej rywalizacji światowej niż w sytuacji, gdybyśmy się znaleźli poza nią. Pozostawanie na marginesie głównego nurtu, to w istocie plasowanie się na peryferiach globalnej wioski. To nie jest sposób na wzbogacanie się. Ekonomia nie zna innego uczciwego sposobu na bogacenie się narodów, regionów, miast, rodzin, jednostek, niż szybki rozwój społeczno-gospodarczy.

Kraje, które potrafią z właściwych teorii ekonomicznych wyciągnąć właściwe wnioski dla polityki gospodarczej, rozwijają się szybciej. I obserwujemy takie kraje, chociaż, niestety, nie jest ich wiele.

Jeśli przyjrzeć się minionemu ćwierćwieczu, to państw, które szły do przodu w tempie wzrostu PKB o 5-7 procent średniorocznie jest niewiele; można je zliczyć na palcach jednej ręki. To tak, jak w tej historyjce, kiedy to dwaj turyści w Bieszczadach, na pograniczu Ukrainy i Polski, siedzą sobie pod świerkiem, znużeni wędrówką jedzą kanapki i tu raptem widzą, że zbliża się niedźwiedź! Jeden z nich rzuca kanapkę, wyciąga z plecaka buty do biegania i je szybko zakłada, a drugi mówi: „Coś ty, zgłupiał, myślisz, że będziesz biegł szybciej, niż niedźwiedź!?”. A jego kompan odpowiada na to: „Nie, nie szybciej niż niedźwiedź, ale szybciej niż ty...”.

Chodzi więc właśnie o to, żeby biec szybciej, niż inni. Aby prędzej z punktu widzenia dynamiki gospodarczej przeć do przodu, niż potrafią to czynić kraje wysoko rozwinięte. Trzeba przy tym mieć pełną świadomość, że nadarżające się w związku z transformacją i globalizacją szanse mogą być wykorzystywane lepiej bądź gorzej.

Polska, która częstokroć jest podawana jako przykład największego dotychczas relatywnego sukcesu w transformacji minionych lat 14, też przechodziła przez różne okresy. Można dzisiaj wskazać cztery wyraźnie odrębne okresy polskiej transformacji po Okrągłym Stole. Pierwszy, przez niektórych nazywany jest „szokową terapią”, choć w istocie było w nim zbyt wiele niepotrzebnych szoków, za to za mało terapii, zbyt wiele kosztów, których przecież można było uniknąć. Dostyc mizerne rezultaty lat 1990-1993 przejawiały się między innymi w głębokiej recesji transformacyjnej. Fakt, że trwała ona krócej niż w innych krajach, wynikał przede wszystkim z tego, że w roku 1989 byliśmy daleko już zreformowaną rynkowo gospodarką i stąd też byliśmy o wiele lepiej, niż inne kraje regionu, przygotowani do wdrażania mechanizmów rynkowych.

Potem zmieniliśmy bieg, zmieniliśmy koncepcję polityki gospodarki w latach 1994-1997, urzeczywistniając program „Strategia dla Polski”. Najważniejsze było instrumentalne z punktu widzenia potrzeb szybkiego rozwoju społeczno-gospodarczego potraktowanie zmian instytucjonalnych oraz reform strukturalnych, w tym zwłaszcza kontynuowanych procesów prywatyzacji i liberalizacji. Lepiej koordynowana była polityka fiskalna z pieniężną, polityka przemysłowa z handlową, nie odżegnywano się bynajmniej od światłego interwencjonizmu państwowego. Nade wszystko zaś właśnie dbaliśmy o budowę instytucji, a więc uczenie się reguł gry i wdrażanie stosownego prawa i organizacji, które do stosowania się do tych reguł gry zmuszają wszystkich partnerów gry ekonomicznej, wszystkie podmioty rynkowe, w tym wyłaniające się małe i średnie przedsiębiorstwa prywatne, a także zmuszają państwową i samorządową biurokrację do zmiany zachowań.

Potem, niestety, w wyniku równocześnie działającego mechanizmu demokratycznego, wahadło wychyliło się w drugą stronę. Przyszła nowa ekipa, przyszły nowe poglądy, po części nowostare, wróciły pewne stare metody oparte właśnie na wspomnianym „waszyngtońskim konsensusie”, który - mówiąc po staropolsku - pasował do naszej rzeczywistości, jak „pięść do nosa”, a nie jak dobra teoria do rzeczywistości, którą trzeba było zmieniać na lepszą. Niepotrzebnie zaczęto schładzać koniunkturę. W końcu ją przechłodzono, nastąpiło to, co po angielsku nazywamy *overkilling*, a po polsku mniej elegancko: „zarżnięciem gospodarki”. I z tempa wzrostu PKB 7,5 procent, z którym zegnaliśmy się z polityką wiosną 1997 r., zeszliśmy do tempa wzrostu PKB do marnego, stagnacyjnego 0,2 procent w IV kwartale 2001 roku. I w takiej oto sytuacji przyszło ponownie podjąć się dzieła przyspieszenia tempa wzrostu. I udaje się. Z rachitycznego 0,8 procent w II kwartale 2002 roku udało się je zwiększyć do blisko 2,8 procent w II kwartale 2003 roku i wprowadzić gospodarkę Polski na trajektorię szybszego rozwoju, co zaowocować powinno tempem wzrostu PKB sięgającym już 5 procent w drugiej połowie 2004 roku - roku wejścia Polski do Unii Europejskiej.

Są zatem szansę, żeby utrzymać się na takiej ścieżce nie tylko przez 4 lata - jak to udawało się podczas realizacji „Strategii dla Polski”, ale może i przez lat 14 albo nawet 24. Właśnie po to, żeby biec szybciej niż ci bardziej od nas rozwinięci i odrabiać historycznie skumulowane zaległości w poziomie rozwoju gospodarczego. Ale to bynajmniej nie jest z góry dane. Z faktu, że jesteśmy zaangażowani, w transformację do gospodarki rynkowej - a dotyczy to i Ukrainy, i Polski, Tadżykistanu i Kirgistanu, Turkmenistanu i takich małych państw, jak Macedonia - i z tego, że otwieramy się i eksponujemy na

wielką grę konkurencyjną wynikającą z globalizacji, wcale jeszcze nie wynika, że będziemy krajami sukcesu gospodarczego.

Sukces jest skutkiem przede wszystkim realizacji mądrej strategii rozwoju społeczno-gospodarczego. A z mojego doświadczenia praktycznego - i w kraju i na świecie - i z moich studiów teoretycznych, także w zakresie ekonomii porównawczej, z wielu przemyśleń jedno wynika na pewno: dobrą strategię i dobrą politykę rozwoju społeczno-gospodarczego oprzeć można tylko i wyłącznie o dobrą teorię ekonomiczną. I jeśli przez te lata przemyśleń i studiów, działań i walki jakiś kamyczek do ogródka tej teorii ekonomicznej potrafiłem dorzucić, to nie były to lata zmarnowane.

Grzegorz W. Kołodko, profesor dr hab., jest profesorem zwyczajnym w Wyższej Szkole Przedsiębiorczości i Zarządzania im. Leona Koźmińskiego w Warszawie (WSPiZ), gdzie kieruje Centrum Badawczym Transformacji, Integracji i Globalizacji TIGER (<http://kolodko.tiger.edu.pl>).